Nr. 39. We Lwowie Poniedziałek dnia 8. Lutego 1897 r. Rok XXX.

DZIENNIK POLSKI

Przedpłata wynosi we Lwowie:

Rocznie 18 zł. — półrocznie 9 zł. — kwartalnie 4 zł. 50 ct. miesięcznie 1 zł. 50 ct., za przesyłkę do domu dopłaca się 20 ct. miesięcznie.

Z przesyłką pocztową w państwie austrjackiem, rocznie 24 zł. — półrocznie 12 zł. — kwartalnie 6 zł. — miesięcznie 2 zł.

Z przesyłką pocztową za granicę do całych Niemiec rocznie 50 marek — kwartalnie 12 marek 50 fenigów — do Francji, Anglji, Włoch i Szwajcarji rocznie 80 franków — kwartalnie 20 franków.

Biuro Redakcji „Dziennika Polskiego,“ plac Marjacki liczba 6 i 7. Telefon Nr 171.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Numer „Dziennika Polskiego“ kosztuje 6 ct.

wychodzi codziennie niewyłączając niedziel i świąt o godzinie 8. rano.

Ogłoszenia przyjmują we Lwowie:

Biuro Administracji „Dziennika Polskiego,“ plac Marjacki l. 6 i 7 i Biuro dzienników Ludwika Plohna ulica Karola Ludwika l. 9.

We Wiedniu: pp: pp. Haasenstein & Vogler, (Otto Maas), M. Dukes. H. Schalek A. Oppelik's Nach., Rudolf Mosse i J. Danneberg; w Paryżu: C. Adam 38, rue de Varenne.

Ogłoszenia przyjmuje się za opłatą 10 centów od jednego wiersza drobnym drukiem (petit).

Doniesienia o ślubach, zaręczynach i inne prywatne komunikaty po kronice za jeden wiersz 50 ct.

Prywatne korespondencje 12 i nekrologja 20 centów od wiersza.

Drobne ogłoszenia $1^1/_2$ centa od wyrazu. Pomieszkania i sklepy po 1 ct. od wyrazu.

Reklamy w rubryce Nadesłane 30 ct. od wiersza.

Wydawcy i właściciele: Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański i Mieczysław Schmitt.

Z prasy słowiańskiej.

Lwów 8. lutego.

(d. k.) Białogrodzkie *Male Nowine* polemizują z *Pester Lloydem* z powodu korespondencji umieszczonej w tem piśmie madjarskiem, według której miał komisarz policyjny w Białogrodzie zakazać tamtejszym reprezentantom gminy izraelickiej, zebranym w celu wyboru członków do zarządu synagogi, obradować w języku madjarskim lub niemieckim. Korespondent pisma madjarskiego wzywa rząd, aby odpowiednio do zachowywania się policji serbskiej, postępował sobie z Serbami węgierskimi. Na to odpowiada organ serbski:

„Będzie mała różnica pomiędzy Serbami na Węgrzech, a żydami madjarskimi w Serbji. Serbowie węgierscy nie są obcą narodowością, ponieważ królestwo węgierskie jest ich ojczyzną, za którą oni przelewali swoją krew, pomagali zrzucić jarzmo tureckie i są równouprawnionymi obywatelami w równym stopniu co Madjarzy. Jeżeli Madjarzy respektują prawa Serbów na Węgrzech, (wprawdzie tego nie czynią), to nie dzieje się to drogą łaski, ani w przystępie dobrego usposobienia, ale dlatego, że tak nakazuje prawo przyrodzone i ustawa wyraźnie przepisuje.

„Taki jest stan rzeczy ze Serbami na Węgrzech, a jaki jest on z żydami — Madjarami w Serbji?

„Kiedy i gdzie przelewali oni krew za wolność i niepodległość Serbji? Nietylko, że jej nigdzie nie przelewali, ale co więcej — jak świadczy owa korespondencja — podstawiają Serbji nogę, gdzie mogą.

„Gdzie są bataljony i pułki wojska serbskiego, w którymby służył choć jeden żyd madjarski?

„W Białogrodzie mamy żydów serbskich poddanych i ich jest więcej, aniżeli żydów madjarskich. Owi serbscy żydzi mają swoją gminę i synagogę, po co więc zakładać drugą gminę, kiedy jedni mogli przyłączyć się do tych drugich?“

„Czy zresztą serbscy urzędnicy dla kilkudziesięciu żydów madjarskich mają się uczyć po madjarsku? Jeżeli żydom madjarskim nie podoba się Serbja, to niechaj wracają skąd przyszli, do swego wolnomyślnego *Madyarorszagu*“.

Lublański *Slovenski Narod* daje wyraz oburzeniu z powodu odrzucenia przez zjazd klerykałów słoweńskich projektu zgody pomiędzy nimi a narodowcami. Jeden ze starszych duchownych słoweńskich, należący do generacji starszej, przychylnej ruchowi młodosłowiańskiemu, pisze w numerze poniedziałkowym rzeczonego pisma, co następuje:

„Kompromis pomiędzy narodowcami a stronnictwem klerykalnem został odrzucony. Przyczynili się do tego pewni młodzi, fanatyczni kapelani, którzy, nie znając potrzeb ludu słoweńskiego, mieli smutną odwagę wystąpienia przeciw głosom starszych od nich wiekiem i doświadczeniem konfratrów. Oni to chcą za każdą cenę mieć w narodzie rozdwojenie; oni jedyni sieją między nami waśń i swary.

„Naród słoweński, zwłaszcza nasi rodacy nad morzem Adrjatyckiem i w zielonej Styrji dziś przynajmniej uwierzą, kto psuje u nas w Krainie tak potrzebną zgodę, kto krzewi walki bratobójcze, kto przeszkadza usiłowaniom, aby koniec położyć walce, wiedzionej częstokroć gwoli rzeczy drobiazgowych i śmiesznych.

„Zjazd kompromisowy będzie lekcją dla tych wszystkich naszych rodaków i czasopism słoweńskich, którzy na *Słowenski Narod* napadają; ślepy lub głuchy nie pozna, jakie są u nas stosunki i co zacz są nasi przeciwnicy.

„Stronnictwo klerykalne dało nam zamiast zgody, walkę. Dobrze, przyjmujemy ją i walczyć będziemy ze wszystkich sił. Chwila obecna jest ważną, mamy wybierać posłów do rady państwa, gdzie się utworzy klub posłów południowo-słowiańskich. Wyszlemy do Wiednia ludzi rozumnych, wolnomyślnych, którzy wstąpią do opozycji, albo też jeżeli rząd da nam gwarancje, popierać będą jego politykę“.

Uparty kozioł.

Zdawaćby się mogło, że po odpowiedziach, jakie otrzymało *Nowoje Wremia* od prasy rosyjskiej za swój projekt utworzenia polskiego narodowego kościoła, powinien był pan Suworin złamać nad tym projektem pióro, powiedzieć sobie, że palnął kapitalne głupstwo i siedzieć cicho. Tymczasem uparł się i ani rusz, uczepił się swego projektu, jak... jak to mówią, pewne szare, nieprzyjemne zwierzątko baraniego futra i ma jeszcze odwagę cytować głosy prasy polskiej, która ten projekt potępiła z góry. Między innemi opowiada *Nowoje Wremia*, że w kościele św. Krzyża w Warszawie pewien ksiądz (który?) wypowiedział kazanie, potępiające „heretyka“ i „odszczepieńca“, przygotowującego dzieło o polskim kościele narodowym.

Gazeta Warszawska zażądała, aby *Nowoje Wremia* wymieniło nazwiska księży, którzy zwracali się z prośbą do hr. Berga, by im nie przeszkadzał w zawarciu małżeństwa; *Nowoje Wremia* jednak, „wskutek, jak powiada, bardzo zrozumiałych przyczyn wymienienie nazwisk tych księży uważa, jak na razie, za rzecz niewłaściwą“.

Słowo warszawskie zażądało, aby autora artykułu o narodowym kościele polskim pociągnąć do odpowiedzialności sądowej, na co odpowiada *Nowoje Wremia*, że „gdyby za ten projekt można było pociągać kogoś przed kratki sądowe, to przyszłoby na ławie oskarżonych posadzić bardzo wielu ludzi i żywych i umarłych“.

„Nie mówiąc o tem — powiada *Nowoje Wremia* — iż w przeszłych wiekach Polacy nieraz podejmowali kwestję o oderwaniu kościoła polskiego od Rzymu, myśl o narodowym kościele polskim wypowiadał jasno w latach trzydzietych i czterdziestych i później zmarły historyk polski Maciejowski w swych dziełach. W roku 1848 pojawiła się w Warszawie w języku rosyjskim książka byłego wicedyrektora kancelarji namiestnika Królestwa Polskiego O. Jeweckiego pod tytułem: „Historja pierwotnego kościoła chrześcjańskiego u Słowian“. W książce tej, przedstawiającej wyjątek z książki Maciejowskiego, dowodzi autor, iż kosztowało to wiele trudu i kłopotów, aby poddać Polskę pod władzę Rzymu i wyraża swą sympatję do dawniej przedsiębranych w Polsce prób oderwania jej od Rzymu.

„W końcu lat sześćdziesiątych i w początkach siedmdziesiątych bieżącego wieku wśród warszawskiego, katolickiego duchowieństwa jawnie dał się spostrzegać prąd zniesienia celibatu i oderwania kościoła polskiego od Watykanu, ale hr. Berg, żonaty, jak wiadomo, z katoliczką, której wpływ, jak również jej spowiednika, nieraz dał się odczuwać, szczególniej w ostatnich latach życia hrabiego, postarał się o powstrzymanie tego ruchu.

„Teraz ruch ten się odradza. Jeżeli prasa polska zachowała się wobec artykułu *Now. Wr.* skrajnie wrogo, to wielu Polaków, przeciwnie, wyraziło dla tego artykułu zupełną swoją sympatję. Artykuł ten dowiódł, iż rozpoczęty w końcu lat sześćdziesiątych ruch wśród miejscowego duchowieństwa katolickiego dotychczas nie zagasł i po pojawieniu się artykułu wyrażono ze strony duchowieństwa polskiego sympatję dla autora wkrótce mającej się pojawić książki o polskim kościele narodowym.

„Utworzenie takiego kościoła ułatwiłoby w znacznym stopniu zbliżenie polsko-rosyjskie. Rozumieją to doskonale polscy separatyści-politykomani. Prasa polska, uchylając się od roztrząsania kwestji polskiego kościoła narodowego w jej istocie i żądając pociągnięcia do odpowiedzialności sądowej zwolenników projektu, postępuje nieszczególnie taktycznie.“

Żałować należy, że p. Suworin nie powiada, na czem polega mianowicie ten brak taktyki. Gdyby to uzasadnił, nie czućby może było w jego słowach pewnej groźby, która, acz niewyraźnie, jednakowoż się przebija. Że dalej taki kościół narodowy polski, pod protektoratem prawosławnej Rosji, stanowiłby mostek, po którym z wszelką łatwością można byłoby przejść z obozu katolickiego na prawosławie, z Polaka stać się Rosjaninem, to nie ulega wątpliwości. Nie byłoby już wtedy wcale mowy o asymilacji, jak dzisiaj, lecz wprost o pochłonięciu według recepty p. Gringmuta.

Sprzedaż soli.

Otrzymujemy następujące pismo z jasielskiego: W numerze 33 *Dziennika Polskiego* z d. 2. lutego, w artykule „Sprzedaż soli“ podniesiono również, prawie niemniej dla nas ważną kwestję upadku produkcji kainitu kałuskiego. Wschodnia Galicja, zasobna w bogate ziemie, nie odczuwa zapewne tak wielkiej potrzeby soli potażowych, jak uboższa zachodnia, lecz masy zakwaśniałych łąk Galicji wschodniej, również na niezmierny brak soli potażowych chorują. Mimo jednak, iż kraj ma kainit, a potrzebuje go w ilościach bezmiernych, tak do użyźnienia łąk jak ziem ornych, jednakże przy dzisiejszych warunkach sprzedaży, kupować go nie może z powodu bajecznie wygórowanych cen, tak tego produktu, jak i dostawy kolejowej. Kto tylko używa kainitu, zawsze używać będzie stassfurtskiego nie kałuskiego, a dlaczego? przykładem wytłumaczę. Kainit stassfurtski zawiera: 1. chlornatrjum — 37,4, 2. siarczano kwaśnego potażu — 24, 3. chloru magnezji — 11,2, 4. siarczanu kwaśnej magnezji — 13,3, 5. wody — 11,4. 6. innych składników — 2,7.

W kainicie kałuskim gwarantują tylko 10% soli potażowych, a zatem mniej jak połowę tego, co stassfurtski zawiera, o innych zaś składnikach dowiedzieć się nawet nie można, potrzeba więc kainitu kałuskiego, przeszło dwa razy tyle na hektar, w stosunku do zawartości potażu, o niego bowiem głównie idzie. Różnice zaś cen są następujące: 100 ct. metr. kainitu stassfurtskiego kosztuje loco Stassfurt z naładowaniem etc. 115 zł., transport zaś kolejowy do stacji Biecz kosztował 34 zł. od 100 ct. metr. Razem 149 zł. za 100 ct. metr.

Wagon kainitu kałuskiego kosztuje loco Kałusz 110 zł., transport do stacji Biecz 40 zł., czyli razem 100 ct. metr. loco stacja Biecz 150 zł., a zatem o 1 zł. więcej jak stassfurtski.

Ponieważ, jak wyżej wykazałem, potrzeba go użyć dwa razy tyle na morg z powodu małej zawartości soli potażowych, przeto, jeżeli na morg nawożę tylko 60 kilogr. soli potażowych bez domieszek, potrzeba kainitu stassfurtskiego 3 ct. mtr. à 1·49, więc kosztuje morg 4 zł. 47 ct. Kainitu kałuskiego 60 klgr. soli potażowych bez domieszek czyli 6 ct. mtr. à 1·50 kosztuje morg 9 zł.

W tym rachunku nie uwzględniam jeszcze 4 części więcej soli potażowych w kainicie stassfurtskim na 100.

Niema więc tak naiwnych, by tak ogromnie, bo w dwójnasób przepłacać kainit kałuski. Kainit kałuski kosztuje niby 70 ct. Ale ponieważ niema komunikacji bezpośredniej z koleją i salinami, więc za transport do kolei i worki? trzeba dopłacać 40 zł. od 100 ct. mtr., co dla tak taniego nawozu jest ogromnie wiele, bo przeszło połowę wartości!

Powtóre: Saliny nie wydają kainitu tylko w workach, których dostawca po dostarczeniu do stacji Kałusz, nazad odbierać nie chce. Drugi więc koszt daremny zupełnie, bo jeżeli ze Stassfurtu aż do Biecza kainit może iść bez worków, to z Kałusza do Biecza takżeby mu się nic nie stało, a można przecie wagon plombować i polecić straży skarbowej otwarcie plomby.

Potrzecie: Bajecznie drogi transport. Jak wyżej, zapłaciłem za wagon 100 ct. mtr. ze Stassfurtu do Biecza 34 zł., zaś z Kałusza do Biecza 40 zł. żądają. Przy tak anormalnych stosunkach żadna gałęź bogactw krajowych normalnie rozwijać się nie może i upaść musi.

Trzeba więc przeprowadzić kolejkę od kopalni kainitu kałuskiego do stacji Kałusz, co w Stassfurcie od czasu znalezienia kainitu od razu uczyniono. Trzeba znieść niepotrzebne koszta na worki i tym podobne. Trzeba zniżyć o połowę przynajmniej cenę kainitu w salinach. Trzeba zmniejszyć o połowę cenę za transport dla sztucznych nawozów w ogóle, a dla kainitu w szczególe, chcąc podnieść jego zbyt. A może należałoby to zrobić, bo łąki coraz gorsze, bydło coraz tańsze, zboże zaś ciągle tanie. Gdy dla nas rolników nikt nic nie zechce zrobić, nic uwzględnić, to pszenica przestanie się rodzić, a bydła nie będzie czem karmić. *Caveant consules!*

Józef Brykczyński.

Brazylijski Mesjasz.

Rząd stanu Bahja w Brazylji zafrasowany jest obecnie postępowaniem oryginalnego awanturnika, któremu udało się w przeciągu kilku lat zebrać pod swoim sztandarem około trzech tysięcy fanatyków, zagrażających poważnie spokojowi kraju. Jestto niejaki Antonio Consegliero, mianujący się ni mniej ni więcej tylko... Chrystusem. Nosi on długie włosy, długą, niebieską tunikę i stale pojawia się w otoczeniu najbliższych uczniów, których nazywa „apostołami.“ Znajdując się w stanie ekstazy, w którym jak powiada, otrzymuje objawienie z nieba, głosi wojnę w obronie religii i monarchji.

Dziwny ten człowiek, zanim przyjął na siebie rolę Mesjasza, był bohaterem okropnego dramatu rodzinnego, wywołanego przez nienawiść jego matki do jego żony. Wskutek ciągłych kłótni między matką a żoną, postanowił wyjechać z żoną z miasta, w którem mieszkał. Matka, pragnąc zatrzymać syna przy sobie, zaczęła mu szeptać, iż żona go oszukuje. Consegliero, kochając żonę namiętnie, udał, że gdzieś wyjeżdża, wrócił w nocy i schował się w bliskości domu. Wkrótce w samej rzeczy zobaczył, że z domu wyszedł ostrożnie jakiś mężczyzna; nie wątpiąc bynajmniej, iż ma do czynienia z rywalem Consegliero, rzucił się na niego i jednem pchnięciem noża położył go na miejscu. Jakiegoż było jednak jego przerażenie, gdy spostrzegł, że zabił swoją matkę, która, aby dać synowi naoczny dowód niewierności żony, naumyślnie przebrała się za mężczyznę i wyszła w nocy z domu w charakterze kochanka!

Oszalały z przerażenia i rozpaczy, Consegliero znikł z rodzinnego miasta, chował się niewiadomo gdzie i dopiero przed kilku laty pojawił się w Bahji, — już jako Mesjasz. Żal, iż popełnił mimowoli tak ciężki grzech, rozwinął w nim halucynacje, mistycyzm i fanatyzm, które w oczach zabobonnej ludności zrobiły go jakąś wyższą istotą i zgrupowały dokoła niego tłum fanatycznych zwolenników, którzy go ślepo słuchają i gotowi są pójść na śmierć, za jego „świętą“ sprawę. Tłum ten zapewniający, że pomagają mu wojska anielskie, uzbrojone w karabiny Winchestera i Camblina, miał już kilka potyczek z wysłanem przeciwko niemu wojskiem. Urzędowe depesze donoszą, iż „buntowników“ zabito 150, ale i wojska rządowe odniosły poważne straty.

Zwolennicy Consegliera owładnęli częścią prowincji, przytykającej do pustyni, a w ręce ich wpadło kilka wiosek. Niedawno zagrażali małemu miasteczku Choazeiro, i, poniósłszy klęskę, ukryli się w szczelinach górskich, zkąd niełatwo ich będzie można wykurzyć. W każdym razie, ten nowy Mesjasz, wobec którego władze brazylijskie zachowywały się dotychczas zupełnie obojętnie, a duchowieństwo po części nawet sympatycznie, staje się bardzo wojowniczym i prawdopodobnie zmusi rząd do energicznego wystąpienia przeciwko sobie.

KRONIKA.

Djarjusz lwowski.

Poniedziałek 8. lutego.

Teatr hr. Skarbka: „Matki“, sztuka Jerzego Hirszfelda. Początek o godz. 7. wieczorem.

Kalendarz. Poniedziałek (8.): Jana z Malty. Wschód słońca o godzinie 7. minut 26, zachód o godzinie 5. minut 4.

Wiadomości djecezjalne. Djecezja tarnowska. Prezentę na probostwo w Kolbuszowej otrzymał ks. Jan Markiewicz, dotychczasowy proboszcz w Korzennej. — Zamianowany notarjuszem w dekanacie czchowskim ks. Jan Wiejaczka, prob. w Wojakowej. — Przeniesieni księża: Franciszek Rączka z Krużlowej do Radgoszczy, Ignacy Mordarski z Radgoszczy do Krużlowej, Kazimierz Salewski z Zaborowia do Radlowa, Ignacy Rajczak z Radlowa na administratora do Żabna, Władysław Naturski z Łęk dolnych do Zaborowia. — Konkurs na probostwo w Żabnie rozpisany do 27. lutego.

Zmiany w klerze zakonnym. O. Markolin Skałuba, dominikanin, mianowany kooperatorem przy kościele parafialnym w Tyśmienicy. — Jurysdykcję otrzymali OO. Dominikanie: Konstanty Jakubowski, przeor i Marcin Rymarczyk w Żółkwi, Ludwik Dziurzyński w Podkamieniu.

Zmarł 2. lutego O. Chryzostom Kosturski, zakonu OO. Bernardynów, kooperator w Leśniowie.

Ofiara denuncjacji. Z Łutomierska w gub. piotrowskiej donoszą, że wywieziony ztamtąd dnia 21. października 1896 r. ks. Michalski, dotychczas siedzi w cytadeli warszawskiej. Uwięzienie nastąpiło skutkiem fałszywej denuncjacji, zaniesionej na księdza przez miejscowego wójta Engelberga, sołtysa Skalskiego i nauczyciela Awotina, których ksiądz publicznie napominał za pijaństwo, nieposzanowanie związków rodzinnych i demoralizację małoletnich uczeniców miejscowej szkoły.

Olbrzymi proces rozpoczął się w tych dniach w Radomiu. Na ławie oskarżonych zasiadło 33 osób przeważnie żydów, którzy w ostatnich latach tworzyli w miasteczku Przedborzu doskonale zorganizowaną bandę złoczyńców. Szerzyła ona postrach przed sobą w całej gubernji, a przy pomocy licznych stosunków długi czas używała bezkarności. Organizatorem bandy był Zelik Pachciarski.

Rozprawa budzi ogólny interes, bo bezpieczeństwo publiczne w Królestwie Polskiem bardzo jest małe. Dzienniki warszawskie donoszą, że band podobnych tej, która się już dostała w ręce sprawiedliwości jest kilka w kraju. Zaledwie jedna banda rabusiów zostanie wykrytą, a należący do niej ocucą

---

(35)

BOHATERKA.

POWIEŚĆ

JULJUSZA MARY'EGO.

Przekład z francuskiego.

(Ciąg dalszy).

Z tej chwili korzystają obie siostry, aby uciekać. Zasmucone są śmiertelnie i do tego stopnia wyczerpane, że przed kilku minutami mogły się zaledwie utrzymać na nogach; trzewiczki podarte, nogi nabrzmiałe, gardła wyschnięte, a głód szarpie im wnętrzności — teraz jednak zdają się nie czuć tego wszystkiego. Zgroza, obawa i wstręt dodają im nowych sił. Jakby ich furje gnały, rzucają się naprzód, aby tylko ujść przed tym strasznym człowiekiem, opuszczają drogę i uciekają boczną ścieżką, prowadzącą jeszcze dalej w głąb lasu.

Niekiedy stają w swej dzikiej ucieczce, aby zaczerpnąć powietrza i wtedy zdaje im się, że słyszą jego kroki po za sobą.

I goni je w istocie.

Obawa dodaje im skrzydeł, i aby zmylić ślad, wybierają wszystkie wązkie drożyny i ścieżki, jakie się na prawo lub na lewo w lesie przed niemi ukazują.

Nareszcie oddychają uspokojone, gdyż prześladowca zaprzestał gonitwy. Mylą się jednak. Goniłby je aż do nocy, ale nogami zaplątał się w wystające korzenie drzewa, tak, że upadł jak długi i tam na miejscu owładnął nim sen pijaństwa, tak że raczej podobny był do trupa, niż do żyjącego człowieka.

Dziewczęta są uratowane.

Oparte o drzewo, wypoczywają przez chwilę. Szybki bieg wyczerpał ich siły zupełnie, tak, że na razie nie odczuwają nawet dokuczliwego głodu. Natomiast odczuwają przykry ból głowy, zdaje im się, jakby im ktoś głowy ściskał kleszczami.

Zaczynają nareszcie iść dalej, przyczem starają się zorjentować. Idą długo, bardzo długo dalej, trzymając się tylko nerwami i obawą, że będą musiały spędzić noc w ponurym lesie. Noc ta przyniosłaby im z pewnością śmierć, gdyż bez wątpienia upadłyby w śnieg, gdzie mróz powoli, ale pewnie, pokonałby je przyjemnem uczuciem, tak, że o świcie nie zbudziłyby się więcej. Skończyłoby się w ten sposób wszystko.

A ta noc, ta straszna noc zbliżała się z przerażającą szybkością; zaledwie, że biała powłoka śniegu na ziemi rozlewała jeszcze słaby błysk między drzewami.

Jakże mogły odnaleźć właściwą drogę.

Zaczęły krzyczeć z całych sił, wrzeszczeć prawie, śnieg jednak tłumił ich głosy. Szły po wąskiej ścieżce coraz dalej, w nadziei, że przecież w końcu natkną się na jakąś chatę wieśniaczą.

Ucichły znowu; głodu już nie czuły, tylko pragnienie je paliło. Wzięły do ust trochę śniegu, ten jednak, roztopiwszy się, powiększył tylko pragnienie w ich wyschniętych gardłach.

Ścieżka zaprowadziła je, gdy noc już zapadła do większej jakiejś drogi, która musiała wieść do szosy.

Szły jeszcze dalej z pół godziny, a ich przypuszczenie nie sprawdzało się. Nagle Marta wysunęła się z ramienia siostry i padła na ziemię.

— Nie mogę już dalej — szepnęła blademi usty — wolę raczej umrzeć.

Napróżno Izabela używała całej swej wymowy; Marta była wyczerpana do reszty i napół nieprzytomna, tak że zaledwie rozumiała słowa siostry.

Blada jak trup, zrozpaczona, z najzupełniejszym brakiem odwagi uklękła Izabela przed siostrą i błagała:

— Marto, miej litość nademną i powstań!

Młodsza siostra nie słyszała nawet jej czułych słów; jeżeli nie znajdzie ochronnego dachu, to Marta napewno zginie tutaj w jej oczach, otoczona tańczącymi płatkami śniegu, oszołomiona coraz większym mrozem.

— Oczekuj tu na mnie, Marto — mówi pospiesznie — pozostań sama tylko na parę sekund; pójdę dalej trochę... poszukam... i znajdę...

Pobiegła i zaledwie po pięciu minutach stanęła. Tuż przy drodze, ale jeszcze w lesie, spostrzegła domek. Nie jest to właściwie domek, lecz tylko jego resztki, ruiny.

Była to dawna leśniczówka, w której w czasie wojny z r. 1870 wolni strzelcy z Wogezów osaczyli oddział Prusaków i wzięli ich do niewoli. Następnego dnia przyszli Prusacy w większej liczbie i podpalili dom, tak, że pozostały tylko cztery nagie ściany, które teraz groźnie i ponuro strzelały w powietrze.

Pomimo tego te stare mury dawały pewne schronienie na noc, chociaż nie przed śniegiem, to jednak przed burzą. Izabela śpiesznie powróciła do Marty.

Ta leżała bez ruchu, zesztywniała wskutek wielkiego mrozu, przeciwko któremu biedne dziecko bronić się nie było w stanie.

Izabela nie traciła czasu na budzenie Marty, lecz z nadludzką siłą wzięła ją w ramiona, jak to czyni matka z dzieckiem, i zaniosła ją do tego domku, wchodząc tam bez obawy i lęku.

Zaledwie weszła, w najbardziej oddalonym kącie czterech ścian odkryła coś szczególnego.

Za pomocą desek i na pół zwęglonych belek, gałęzi i suchego liścia urządzono tam czworokątny szałas, którego drzwi plecione na pół z wierzbiny i brzozy, stały na pół otworem. Izabela otworzyła je zupełnie i spojrzała w środek, wskutek panującej ciemności jednak mogła początkowo tylko bardzo niewiele rozróżnić.

Pnie drzewa i kamienie, jak również na dwóch odłamach skalnych położone deski służyły jako miejsca do siedzenia, a w środku szałasu kupka popiołu zdradzała, iż zwykle w tem miejscu rozpala się ogień.

Ale kto tutaj przychodzi? Kto szuka przytułku w tym domu? Może włóczęgi, rabusie? Może przemytnicy lub kłusownicy? A może drwale lub węglarze?

Mniejsza o to!

Izabela składa ostrożnie Martę na łoże z mchu i suchych liści, poczem zaczyna trzeć jej ręce i twarz, aby ją przywrócić do przytomności. Wkrótce jednak czuje sama, iż po jej ciele przebiega zimny dreszcz, a zimny pot występuje jej na czoło. Oczy jej się zamykają i pokonana osłabieniem pada bezprzytomna obok siostry.

Może z półgodziny leżały tak obok siebie, do umarłych raczej podobne niż do żywych, gdy plecione z wierzbiny drzwi otworzyły się znowu.

Niebo ciągle jeszcze ciemne i ponure, a śnieg jak przedtem tak i teraz pada jeszcze grubymi płatami.

Dwóch ludzi weszło do chaty, gdzie zaczęli się strząsać jak zmoczone pudle, aby się uwolnić od śniegu; następnie zamknęli drzwi, jeden z nich wyciągnął zapałki i zapalił latarkę, którą postawił w kącie, przyczem nagle spostrzegł leżące obok siebie na ziemi siostry.

— Do pioruna! — zawołali obaj jednocześnie — wizyta w naszym dworku!

Przysunęli się bliżej po cichu i spoglądali na leżące bez ruchu dziewczęta, poczem jeden z nich, podkręcając wąsa, rzekł:

— Dwie ładne istoty, wachmistrzu... Kocham moją żonę, co mi jednakowoż nie przeszkadza twierdzić, iż one ohydwie ładniejsze są od niej!

Wachmistrz przyglądał się bezprzytomnym okiem znawcy; chwycił nawet latarkę i zbliżył ją do twarzy obu dziewcząt.

— Tak, Mrugaczu, jestem zupełnie twego zdania, pomimo, iż pani Marboutin słynie na pięć mil dokoła jako najpiękniejsza.

Obydwaj mężczyźni byli strażnikami celnymi. Jeden z nich, młodszy, Marboutin, nosił przydomek „Mrugacza“, ponieważ miał zwyczaj mrugać to lewem to prawem okiem, co jego twarzy nadawało sprytny, przebiegły wyraz, nawet wtedy gdy mówił z największą powagą.

Drugi nazywał się Jarousse, wachmistrz granicznego posterunku celnego, a liczył lat około pięćdziesięciu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

się w więzieniach, powstaje inna w innej okolicy kraju. Oto i obecnie stali i przygodni korespondenci, opowiadają o tem, co się dzieje w okolicach Sosnowca, Będzina i Strzemieszyc. Napady i rabunki są tam na porządku dziennym, a przestrach wśród ludności taki, że na żaden opór trafić nie mogą, i uzuchwalają się coraz bardziej.

Mianowania. Lwowski wyższy sąd krajowy zamianował auskultanta sądu obwodowego w Trawniku (Bośnja) Wenantego Ferenza auskultantem.

Sąd krajowy wyższy w Krakowie zamianował auskultantami sądowymi, praktykantów sądowych: Nikodema Paleczngo, Jana Opiata, dr. Franciszka Józefa Wajdę, Michała Rybakiewicza, dr. Jana Pochronia, Leona Ignacego Preissa, dr. Zygmunta Mrowca, Władysława Bartmańskiego, Adama Kukalskiego, Aleksandra Pomietłę, dr. Jana Szwarcenberg-Czernego, Franciszka Piotrowicza, Józefa Chalcarza, Andrzeja Siduta, Kazimierza Albrychta, dr. Zygmunta Jasińskiego i kandydata adwokackiego dr. Augusta Olszewskiego.

Dar. Dr. Leon hr. Piniński, profesor uniwersytetu lwowskiego, oraz poseł na sejm i do rady państwa, złożył — jako coroczne — na ręce dziekana wydziału prawa i umiejętności politycznych kwotę 1000 zł.. przeznaczoną na stypendjum dla kandydata do docentury w jednym z uniwersytetów krajowych.

Zatwierdzenie wyboru. Cesarz zatwierdził wybór Władysława ks. Sapiehy, właściciela dóbr w Oleszycach, na prezesa i notarjusza Stanisława Długoszowskiego w Cieszanowie, na zastępcę prezesa rady powiatowej w Cieszanowie.

Z ruchu syońskiego. Żydowska biblioteka dla ogólnego użytku ma wkrótce powstać we Lwowie. Z biblioteką tą połączyć chcą syoniści szkołę języka hebrajskiego. — Syoniści tutejsi zaczynają już wysyłać swoich towarzyszy do Palestyny, a celem osiągnięcia potrzebnych funduszów powstaje towarzystwo losowe. — Międzynarodowy zjazd syonistów odbędzie się w sierpniu br. w Zurychu. Inicjatorem jego jest dr. Herzl, znany apostoł utopji o wolnem państwie żydowskiem.

Mieliśmy sposobność poznać wczoraj ks. Edwarda Stanisława Ostveda, misjonarza apostolskiego z Kopenhagi. Ks. Ortved w młodym wieku poznawszy historję polskę, postanowił poświęcić życie swoje Polakom. Przeszedł więc na łono kościoła rzymsko-katolickiego i został duszpasterzem robotników polskich, tysiącami na roboty polne do Danji zdążających. Dla nich to, na czas ich półrocznego z górę pobytu wznosi obecnie ks. Ortved świątynię w Mariebo, gdzie wygłasza też do nich polskie kazania, ze łzami w oczach przez wychodźców naszych słuchane. W tej chwili wraca ks. Ortved z Prus, Szląska i Królestwa, które to strony nasze objechał dla poznania stałych siedzib swoich owieczek. Z ust ks. Ortveda, który ujmuje wszystkich swoją żarliwością, prostotą i wiarą, dowiadujemy się, że potrzeba mu jeszcze na wykończenie kościoła 3—4000 marek. Ofiary na ten piękny i sympatyczny dla każdego Polaka i katolika cel, przyjmują Adam ks. Sapieha i Andrzej ks. Lubomirski, oraz pośredniczą w tem redakcje naszych czasopism.

Rabunek. Przeprowadzona wczoraj przed przysięgłymi rozprawa 18-letniego Józefa Semeniuka, oskarzonego o zbrodnię rabunku, jest w ścisłym związku z osądzoną w ostatniej zeszłorocznej kadencji rozprawą wspólnika jego, Bukowskiego, skazanego wówczas za kradzież. Oskarzony wczoraj Semeniuk wraz z Bukowskim w nocy na 22. września 1896. napadł dziada Baczyńskiego, który w lecie sypiał w szopie przy ul. Janowskiej. Podczas, gdy Bukowski ograniczył się na zabraniu dziadowi pieniędzy, Semeniuk zarzucił mu na głowę koc, usiadł mu na piersi i dusił go za szyję. Wczorajszej rozprawie przewodniczył radca Lorenz, oskarżał prokurator Hibl, bronił dr. Bronisław Ostaszewski. Trybunał na podstawie werdyktu sędziów przysięgłych, którzy zaprzeczyli pytanie w kierunku zbrodni rabunku, a potwierdzili pytanie w kierunku śmiałej kradzieży, skazał Semeniuka na 1½ roku ciężkiego więzienia, zaostrzonego postem co 14 dni.

Notatki literackie i artystyczne.

Repertoar teatralny. W teatrze hr. Skarbka: Dziś w poniedziałek po raz pierwszy „Matki" *(„Die Mütter")*, sztuka w 4 aktach Jerzego Hirschfeld'a, tłumaczenie Edwarda Lubowskiego; jutro we wtorek „Goplana", opera romantyczna w 3 aktach, a 5 odsłonach Wł. Żeleńskiego; w środę po raz drugi „Matki".

Popis uczniów. Z Paryża donoszą 28. stycznia: Rodaczka nasza, panna Wilma Monti, znana nauczycielka śpiewu, przeniosła się niedawno z Berlina do Paryża i otworzyła tu szkołę. W ubiegłą niedzielę dała pierwszą t. zw. *audition*, na której wystąpowali jej uczniowie i uczenice. P. Linde Lwowianin, odśpiewał z panną Hanżanką z Norwegji, duet z Mozarta i sam canzonettę Scarlattiego i pieśń Szumana. Podobał się nadzwyczaj i wszyscy rokują mu świetną przyszłość.

Rada miasta.

Lwów 7. lutego.

Na wczorajszem nadzwyczajnem posiedzeniu, któremu przewodniczył p. prezydent dr. Małachowski, stała na porządku dziennym sprawa nakładania dodatków do podatków na cele szkolne i wysłania petycji w tej sprawie do sejmu. Rzecz cała według referatu dra Byka ma się jak następuje W r. 1894 straciła gmina dochód z propinacji oraz dochód, który pobierała od kolei Karola Ludwika, gdyż kolej tę upaństwowiono, a bilans państwowy zamyka się deficytem. Dochody pobierane od tych instytucyj służyły jako dodatek na wydatki szkolne. Między innemi instytucjami i kolej północna, której część linji przechodzi przez Galicję, płaciła od swych dochodów taki dodatek. W zeszłym jednak roku dyrekcja tej kolei oświadczyła, iż więcej tego dodatku płacić nie będzie. Gmina odwołała się do wydziału krajowego, który spór rozstrzygnął na korzyść gminy, ale dyrekcja kolei rekurowała od tego orzeczenia do trybunału administracyjnego i uzyskała tam dla siebie wyrok korzystny, gdyż trybunał orzekł, że gmina nie ma prawa pobierania jakichkolwiek dodatków na cele szkolne.

Wskutek tego ubytku dochodów powstała konieczność rozdzielenia dodatków na inne podatki. Ponieważ zaś wysokość dotyczących podatków przekracza granicę leżącą w kompetencji gminy, przeto gmina musiała się udać do wydziału krajowego. Wczoraj na posiedzeniu sejmu wniósł już prezydent miasta dr. Małachowski projekt ustawy o odpowiednią zmianę statutu miasta Lwowa, przeto referent uważa, że rada w interesie przysporzenia tej tak ważnej dla miasta i szkół miejskich sprawy powinien wniosek pana prezydenta poprzeć petycją wystosowaną do sejmu. Wniosek ten jednogłośnie uchwalono, a referenta nagrodzono oklaskami. W sprawie tej przemawiali pp. Thulie, Radziszewski i Baranowski, na którego wniosek polecono komisji prawniczej, aby się zastanowiła nad orzeczeniem trybunału. Na tem obrady zakończono.

Bal prasy.

Jesteśmy w małym kłopocie, z którego nie wiadomo jak wybrnąć: oto nie wypada się nam chwalić. Jest faktem, jasnym jak dzień, że bal się powiódł w całej pełni, a chochlik zarozumiałości, siedzący na szapoklaku sprawozdawcy, nachyla się do niego i szepce mu w ucho: nie mógł się nawet nie powieść, skoro tak chcieli dyrygenci opinji publicznej...

To prawda, ale... kiedy nie wypada się chwalić. Zdaje mi się, że gdy podniosę kamerton opisu o jeden ton wyżej, aniżeli przy innych podobnych notatkach, duchy nieboszczyków-bali tegorocznego karnawału, zakrążą nad moją głową i będą syczeć zjadliwie: reklama! reklama!...

A gdyby nawet? Przykładam wskazujący palec do czoła — chwila kontemplacji — i zapytanie: czy ta reklama byłaby grzechem, na który nie masz rozgrzeszenia w kodeksie kłamstw konwencjonalnych? Nie i sto razy nie. Wartoby się raz wreszcie policzyć z panią opinją, którą my rzekomo fabrykujemy, bodaj przy sposobności naszego — balu.

Przez cały okrągły rok boży, my, satelici zjawisk, faktów i prądów na wszystkich polach ludzkiego życia, służymy innym naszym zapałem, nerwami, zdrowiem, a bodaj — reklamą. Reklamujemy każdą rzecz, która nosi na sobie piętno publicznego pożytku, wywalczamy korzyści innym, czyż byłoby naprawdę grzechem, gdybyśmy raz jeden zareklamowali siebie, gdy idzie o asekurację przed zimnem, głodem i niedostatkiem?...

Ale na szczęście nawet tym razem nie potrzebujemy sięgać do arsenału reklamowych wykrzykników. Rzecz mówi sama za siebie: jest bowiem faktem, jasnym jak dzień, że bal się powiódł w całej pełni!

* * *

Jeżeliby kiedy karnawał lwowski podupadł tak, iż chcianoby mu odebrać jego książęcy tytuł, to rekurując przeciw temu zamachowi, mógłby się śmiało powołać na wczorajsze swoje apartamenty w kasynie miejskiem. Były one — bez przesady — książęce.

Małą salę udekorowano według pomysłu artystów Tadeusza Popiela, Marcelego Harasimowicza i Rybkowskiego. Tworzyła ona wspaniały namiot o stropie z różnobarwnych makat tureckich, zakończonym rozetą z makartowskich bukietów i palm. Narożniki z aksamitu *bordeau*, na ścianach bogate dywany perskie, dwa olbrzymie lustra naprzeciw wejścia do dużej sali, oraz baldachim z emblematem dziennikarstwa: złotem piórem, z liśćmi wawrzynu i palmą. W rogach sali cztery kląby zieleni, podłoga wyścielona suknem koloru *bordeau*. Materji dostarczyły znane firmy pp. Haasa i Krzysztofowicza, roboty dekoratorskie wykonał p. Tkacz.

W dużej sali, ozdobionej po kątach zielenią, urządzono bardzo dowcipną i wytworną nowość: fontannę perfumy, tryskającej na cztery metry w górę. Metalowy basen, otoczony krzewami, mieścił w sobie brązowego amorka, który wyrzucał strumień wonnego płynu. Fontanna, poruszana motorem spirytusowym, jest pomysłu i wykonania firmy blacharskiej p. Bogdanowicza i zapewne przyjmie się jako sympatyczna nowość. Za fontanną na ścianie widniał rulon papieru i emblemata dziennikarskie.

Przedpokój i klatkę schodową udekorowano również troskliwie i z przepychem, tak, iż całość robiła wrażenie wytworne i nad wyraz gustowne.

Karneciki wprowadziły przecież coś nowego ze sobą i jeżeli powiemy, że tym razem były naprawdę oryginalne, to nadużywany ten zwrot należy brać zupełnie dosłownie. Przedstawiają one eleganckie małe wachlarzyki, różowe i błękitne, w oprawie z kości słoniowej i z godłami pisarskiemi. Na rozwartym wachlarzyku wypisany był złotemi literami porządek tańców.

* * *

Sala lśni od świateł *al giorno*. W powietrzu krzyżuje się i miesza lekki gwar rozmów, na twarzach ożywienie i ochota — wykwintne zebranie oczekuje skinienia pałeczki kapelmistrza, ażeby rozpocząć tańce.

Roll daje magiczne skinienie, orkiestra gra jego własny, nowy polones. Na sali zamiast bezładnych grup formują się pary. W pierwszej prezydent Małachowski z księżną Sanguszkową, jedną z protektorek balu, w drugiej dr. Marchwicki z panią Małachowską, w trzeciej poseł Gorayski z panią Marchwicką, w czwartej prezes tow. dziennikarzy p. Zajączkowski z panią Skrzyńską, w piątej prezydent Korytowski z hr. Grocholską, siostrą księżnej namiestnikowej, w szóstej wiceprezes tow. dziennikarzy p. Skrzyński z hr. Pinińską, w siódmej dyr. Seferowicz z panią Antoniewiczową. Obecni byli książę namiestnik, marszałek hr. Badeni, posłowie sejmowi, dygnitarze i kwiat inteligencji. Druga protektorka balu hr. Cecylja Badeniowa nie mogła przybyć z powodu słabości.

Tańcami aranżowali pp.: Fryderyk hr.. Skarbek i Jordan. Do pierwszego kadryla, który stanowi probierz powodzenia zabawy, stanęło 110 par. Prześlicznie wyglądał zwłaszcza kotyljon, odtańczony przy bengalskiem i magnezjowem oświetleniu, puszczonem z galerji. Zabawa przeciągnęła się do rana.

* * *

Muzyka przestała grać, wstrzymując wir trzech par ostatnich, które posłały ku galerji spojrzenie pełne prośby: „Jeszcze chwilę — bodaj nad program!"... Bez skutku. Orkiestra poczęła składać nuty i opuszczać swoje miejsca, więc i z wytrwałych najwytrwalsi musieli pogodzić się z losem.

Sala była pusta. W jednym tylko rogu znajdowało się kilka osób. Podszedłem bliżej. Jedna z męczenic zabawy, blondynka z niebieskiemi, jak lazur nieba, oczami, z falującą piersią, zmęczona aż do bezwładności, w chwili, gdym przechodził, prosiła:

— Wody, albo może lemonjady.

— Maniu, zmęczonaś — odpocznij i pójdziemy do domu.

Odpoczęła i poszli.

Rzuciłem okiem na salę.

Tu, gdzie przed paru godzinami wir tańca unosił kilkadziesiąt par, gdzie niedawno szał zabawy zatracał myśli — zmysłom zostawiając miejsce, w sali, która drżała od śmiechów i gwaru, było pusto zupełnie. Kilkadziesiąt jasnych świateł, czerwone kanapki pod ścianami, szmer woniejącej fontanny, wielkie i nieme już lustra, porysowana posadzka, a na niej kilka zmiętych kotyljonowych kokardek, zwiędłych róż i w rogu, na krześle, zapomniany wachlarz — oto wszystko.

Ta pusta sala robiła wrażenie człowieka, z którego uleciała dusza...

OSTATNIE WIADOMOŚCI.

Posiedzenie centralnego komitetu dla Galicji wschodniej odbyło się w sobotę pod przewodnictwem hr. W. Dzieduszyckiego. W obradach wzięli udział pp.: dr. Doliński, Gniewosz St., Wł. Kozłowski, dr. Krzysztofowicz, Merunowicz, dr. Ostaszewski-Barański, Rayski Alb., Romanowicz Tad., dr. Skałkowski, hr. Szeptycki, Mik. Torosiewicz, dr. Aleks. Vogel. — Dyskusja toczyła się nad sprawą wyborów w kurji piątej i czwartej — a nadto nad wielu kwestjami zasadniczemi. W poniedziałek pojawi się odezwa wyborcza komitetu centralnego.

Z Paryża donoszą, że w tamtejszych kołach dyplomatycznych omawianą bywa żywa wiadomość, — która nawet początkowo uchodziła za bezpodstawny wymysł, — że mianowicie tamtejszy ambasador turecki Mussir bej uczestniczył w konferencji Murawiewa z ministrem spraw zagranicznych p. Hanotaux. Z komentarzy do tej wiadomości, czynionych przez dobrze poinformowane sfery, zdaje się też wynikać cel i znaczenie owego uczestnictwa Mussira beja w rozmowie kierownika rosyjskiej polityki zagranicznej z ministrem francuskim. Wiadoma rzecz, iż Mussir zażywa specjalnego zaufania sułtana, a ponieważ decyzja i energja Abdul Hamida mogłaby pomocną być do szybkiego przeprowadzenia reform w Turcji, przeto Murawiew i Hanotaux mieli zamiar, przypuszczając reprezentanta tureckiego do udziału w swej konferencji, usunąć wszelkie ewentualne wątpliwości sułtana pod względem zapatrywań Murawiewa na zamierzone reformy. Mussir bej mógł tedy ze słów jego nabrać przekonania i następnie swemu suwerenowi je zakomunikować, że nowomianowany kierownik zagranicznej polityki Rosji wierny jest tym ideom, które dały impuls do reform w Turcji i że Rosja, jak przedtem, tak i obecnie bynajmniej nie zamierza naruszyć zgody mocarstw, jaka się od dłuższego czasu objawia w rokowaniach dyplomatycznych, Turcji dotyczących.

TELEGRAMY „Dziennika Polskiego:"

Wiedeń 7. lutego. Uważają tu dzisiejszą sytuację polityczną z powodu niepomyślnych wieści z Krety i wczorajszej ostrej mowy angielskiego kanclerza skarbu Hicksa, za mogącą budzić poważne obawy.

Rzym 7. lutego. *Agenzia Italiana* donosi, iż wojska tureckie na Krecie podniosły się przeciw namiestnikowi Krety Berowiczowi baszy, wpadły do Kaney i spaliły niektóre dzielnice miasta. Konsulowie austrjacki i włoski dokładali wszelkich starań, aby zapobiedz rozlewowi krwi, ale napróżno. Z klasztoru Christophigi udało się im uratować 300 omdlałych już z głodu kobiet i dzieci. Rozruchy przybierają coraz szersze rozmiary. Włoski konsul i poddani włoscy, przebywający na Krecie musieli się schronić na pokład statku „Actua".

Lizbona 7. lutego. Gabinet podał się do dymisji. Król dymisję przyjął i utworzenie nowego gabinetu powierzył Lucjanowi Castro.

Hamburg 7. lutego. Podczas głosowania bastujących robotników 65% oświadczyło się za powrotem do pracy.

Nadesłane.

(Rubryka ta nie pochodzi od redakcji, która też nie bierze na siebie żadnej za nią odpowiedzialności).

TEATR hr. SKARBKA.
Dziś:
Po raz pierwszy:
MATKI
(Die Mütter)
sztuka w 4 aktach Jerzego Hirszfelda; tłumaczył Edward Lubowski.

OSOBY:
Dora Frey . . Cichocka
Robert, Jadwiga } jej dzieci . . Wostrowski, Czaplińska
Ludwik Frey, szwagier Dory . Chmieliński
Rzecz dzieje się za naszych czasów.

Juiro po raz 4-ty: „GOPLANA", opera w 3 aktach a 5 obrazach Wład. Żeleńskiego.

Redaktor odpowiedzialny Adam Krajewski. Papier z fabryki czerlańskiej. Z Drukarni K. Budweisera pod zarządem Ludwika Ringela.